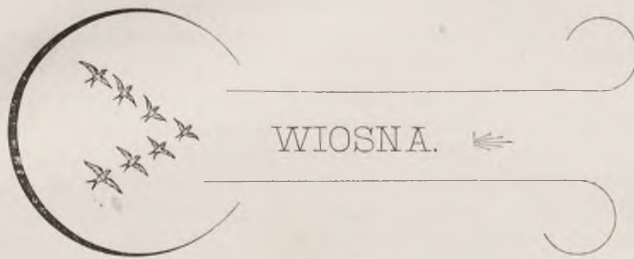
Nr. 18. We Lwowie dnia 30. kwietnia 1894. Rok II.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.



I.

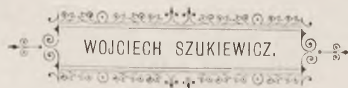
Drzew pękających i drobniutkiej trawy,
co łan zaściela miękkim aksamitem,
woń zalatuje. U góry sinawy
szereg obłoków spiera się z błękitem

o panowanie w przestworzu — śród wrzawy
dzikiego ptactwa, co, jak łańcuch, zbitem
powraca stadem z zamorskiej wyprawy...
Las szumi cicho, nad nim z blasków sitem

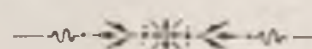
słońce wyjrzawszy z po za chmur, miljony
brylantów sieje na deszczem zroszony
miljon wierzchołków, na mchy, na radosny

tłum jasnych śnieżek, na białe stokrotki,
żółte prymule, na fijołek słodki
i na sasanki, pierwsze dzieci wiosny...

Jan Kasprowicz.



Kilka dni w Chorwacji.



I.

Mogę zapewnić Szanownych Czytelników, że jednem z najprzyjemniejszych pod słońcem zajęć jest turystyka. Kto mi nie wierzy na słowo, oparte na pewnem już doświadczeniu, niech weźmie kij do ręki, tornister na plecy i dalej przed siebie w świat, dokąd oczy poniosą. Dzisiaj środki komunikacyjne tak są ulepszone i tanie, że nawet wiele pieniędzy na tę zabawę nie potrzeba, zwłaszcza, jeżeli kto się umie praktycznie urządzić.

Interesy handlowe zapędziły mnie do Vindobony, która tem nieprzyjemniejsze robi na mnie wrażenie, im bliżej ją znam. Cały Wiedeń, nie wykluczając słynnej Ringstrasse i przedewszystkiem »Schoenbrunn« to wcielony ideał banalności, której przyroda nic nie przeciwstawiła. To też skoro tylko ułatwiłem się ze wszystkiem, siadłem o siódmej rano na parowiec, który po pięknym, modrym Dunaju, zawiózł mnie do Buda-Pesztu. Brzegi Dunaju częściowo ciekawy przedstawiają widok, częściowo niczem nie pociągają. Przejrzeć je można dokładnie, bo się

płynie od rana aż do 10. godz. wieczorem. Zato podjazd do Buda-Pesztu nagradza długą jazdę, gdyż kilka mostów i obydwa brzegi rzeki są gęsto oświetlone, a światła odbijają się w wodzie, załamują, migocą i błyszczą. O parę kroków od miejsca wylądowania jest »Grand hotel«: »Hungaria«, w którym można mieć tani a wygodny pokój na czwartem piętrze naprzykład. Niechaj nikogo nie przeraża to czwarte piętro, gdyż wskutek wybornej windy nie czuje się go wcale. Na dole — obok zimowego ogrodu, pysznej kawiarni i innych osobliwości albo wygód — zasługuje na uwagę wytwornie urządzony salon do czytania i pisania, gdzie można wieczorem słuchać przez telefon najnowszych wiadomości w dwóch językach: madjarskim i niemieckim wprzód, nim zostaną wydrukowane w dziennikach.

Peszt jako miasto nowożytne nie przedstawia zgoła nic osobliwego ale położenie stolicy królestwa węgierskiego jest wcale ładne. Stara Buda rozłożona jest na wzgórzach; z parku zamkowego roztacza się piękna panorama na leżący po przeciwnej stronie Peszt. Dunaj głęboki jest i dozwala na żywy ruch mniejszych i większych parowców; kilka mostów łączy oba brzegi.

Jeden dzień wystarcza w zupełności do obejrzenia Buda-Pesztu na zewnątrz, więc o 10. godzinie wsiadłem na pociąg, jadący ku południowi. Wlokłem się, o zgrozo, całych 16. godzin i to przez kraj płaski, nic osobliwego nie przedstawiający. Oczywista pasażerowie, współtowarzysze moi, zmieniali się ustawicznie a stosownie do okolicy, przez którą przejeżdżałem, rozbrzmiewała w wagonie mowa madjarska, niemiecka albo słoweńska.

Na całej drodze doznaje się tylko raz przyjemniejszego wrażenia, to jest wtedy, kiedy pod stacją Gombos (czyt. Gombosz) cały pociąg przewożą w dwóch częściach przez szeroki i głęboki Dunaj na żelaznych, mocno zbudowanych promach. To połączenie wagonów kolejowych z parowcem, jęczącym pod znacznym ciężarem, jest jedynym w swoim rodzaju widokiem. Jednostajność jazdy przerywały wesoło świegocące jaskółki, poważnie kroczące bociany i olbrzymie łany żółtego rzepaku.

Nareszcie usłyszałem głos konduktora, wołający:

— »Vrpolje«.

Wyskoczyłem.

W tej chwili podsunął się jakiś wąsaty Serb, ofiarujący mi, o ile mogłem zrozumieć, konie do Djakovy, dokąd właściwie zdążałem.

— »Fünfzig Kreuzer« — powiedział, ukazując na swoje konie.

W odpowiedzi zająłem miejsce na bryce, a obok mnie siadł jakiś inny pasażer, jadący też do Djakovy. Ruszyliśmy. Po chwili nawiązała się a raczej usiłowała nawiązać się między nami, rozmowa, ale nie szło nam jakoś, bo ja odrazu dźwięków serbo-horwackich pochwycić nie mogłem, a mój interlokutor nie mówił po niemiecku.

Lichą szosą wśród kurzawy jechaliśmy do stolicy biskupa Strossmayera. Okolica płaska, pola starannie uprawne i już zielone. Z daleka wpośród mnóstwa małych domków sterczy duży budynek kościelny; jestto świeżo przez ks. biskupa ufundowana katedra. Przyjechawszy do Djakovy i zostawiwszy rzeczy w hotelu czyli gostinicy, kazałem się zaprowadzić do dr. Prebega, adwokata, do którego miałem list polecający od p. Bronisława Grabowskiego z Częstochowy. Ku mojemu zmartwieniu nie zastałem p. Prebega w domu, gdyż właśnie wyjechał do Zagrzebia i miał wrócić dopiero nazajutrz rano. Rad nierad poszedłem sam zwiedzić katedrę, zbudowaną w pięknym stylu gockim i ozdobioną polichromią oraz ładnemi rzeźbami w ołtarzach bocznych. Nad drzwiami wchodowemi wewnątrz widnieje następujący napis:

»Slavi Božjoj — jedinstow crkava — slogi i ljubavi naroda svogo — posvietio J. J. Strossmajer. 1866—1882. (Chwale Bożej — jedności kościoła — zgodzie i miłości swego narodu — poświęcił J. J. Strossmajer).

Obok wspaniałej katedry wznosi się mały i skromny pałacyk ks. biskupa Strossmajera, tego olbrzyma Słowiańszczyzny południowej, którego poznam zapewne bliżej, mając list polecający od ks. prałata Drohojewskiego, ekssekretarza biskupiego i p. Aleksandra Jabłonowskiego, historyka z Warszawy.

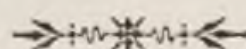
C. d. n.



Rok 1848 w Krakowskiem i w Galicji

przez

Bolesława Limanowskiego.





III.

Rzewuski Leon żywo przemawiał, iż »należy troskliwie zachować stowarzyszenie gromadzkie, myśl tak narodową, szczepowi słowiańskiemu właściwą i będącą wyrażeniem politycznem zasady braterstwa«. Po kraju obiegał drukowany arkusik p. t. »Galicja i Austrja«. »Głos drugi z Królestwa Kongresowego do obywateli Galicji i Krakowa« (23. maja, 1848), w którym autor zapytuje: poco zaprowadzać indywidualną własność ziemską pomiędzy włościanami, kiedy jej jeszcze niema? »Czyż nie jest właściwiej — powiada on — zachować własność wspólną i tylko użytkowanie czyli uprawę rozdzielić, zostawiając wprawdzie początkowo dzisiejszym gospodarzom grunta przez nich posiadane, lecz z obowiązkiem płacenia z nich na korzyść ogółu gromady niejako czynszu dzierżawnego, którego wysokość z początku się oznaczy według potrzeb ogólnych na podatki, szkoły, szpitale, kościoły, na wspomożenie tych, co sobie rady dać nie mogą. Tym sposobem część przynajmniej niesprawiedliwości patentu się usunie; polepszenie bytu pojedynczych nie będzie przypadkiem, ale owocem zabiegów i pracy; zniesienie pańszczyzny kontrybucją ściągnioną z dziedziców, lecz nieobróconą na korzyść indywidualną niektórych, ale na użytek całej klasy ludniejszej, gdyż każda gromada musi mieć obowiązek dbania o wyżywienie i zatrudnienie wszystkich mieszkańców. Tym środkiem położy się fundament instytucji gminnych, odkryje się źródło znacznych funduszów na wszelkie ludu wiejskiego socjalne potrzeby; zaś powierzanie podziału ról i administrowania funduszami samymże włościanom, a raczej starszyznom z ich grona przez nich samych wybranym, rozwinie w nich samodzielność i cnoty obywatelskie, które są jedyną podstawą jakiejkolwiek budowy społecznej«. »Tym, co się lękają komunizmu, odpowiem: że właśnie jeżeli komunizm jest groźny, to dla tego że jest po za obrębem towarzystwa, że nie jest uchwycony w karby organiczne. Nie gmina jest niebezpieczną, ale gmin nieuorganizowany. Marzenia komunistów są w zarodzie chrześcijańskim wypływem: wspólność interesów, polepszenie losu mas, wyrzeczenie, iż pasterz dla trzody, a nie trzoda dla pasterza«*).

Rada Narodowa, to dziecko rewolucji — w mniemaniu demokratów — uosobiona idea demokratyczna, ludowa, przedstawicielka jedyna woli narodu*), istotnie — jak widzieliśmy — przedstawiała przekonania i dążności postępowe. Starała się ona skonsolidować rozbite społeczeństwo, ażeby uczynić je więcej odpornem, więcej silnem — do walki o swe prawa.

Biurokracja austrjacka miała w niej silnego wroga, który z dnia na dzień stawał się potężniejszym. Postanowiła więc ona pod pierwszym lepszym pozorem rozbić ją, zniweczyć. Korzystała z tego, że Rada Narodowa silnie się oparła ukonstytuowaniu się sejmu postulatowego, który się był zgromadził, pomimo że deputacja polska w Wiedniu protestowała przeciwko temu w swej odezwie z dnia 16. kwietnia, pomimo że powszechna niemal opinja kół patrjotycznych sprzeciwiała się temu. Kiedy 25. kwietnia zgromadziły się stany w gmachu im. Ossolińskich do obrad przygotowawczych, rozległo się w sali pomiędzy publicznością a nawet i wielu członkami głośne i natarczywe wołanie: »Niema sejmu!« Gubernator rozkazał przeto zamknąć »klub«, który »terorystycznem wystąpieniem« — jak objaśniała »Gazeta Lwowska« rozprzęgał zgromadzone stany. Dnia więc 26. kwietnia zabrano papiery Rady Narodowej, opieczętowano lokal onej i przy drzwiach postawiono straż. Równocześnie wyszedł rozkaz rozwiązania rad obwodowych. Wszędzie stawiono opór, a w Stanisławowie bagnetami rozpędzono opornych, przyczem został zamordowany młody uczeń gimnazjum, Stanisław Hoszowski. Wywołało to krzyk zgrozy w całym kraju, i najbardziej oporni członkowie sejmu cofnęli się przed powszechnem potępieniem. Wydział Stanów galicyjskich obwieścił więc, »że zapowiedziany sejm miejsca mieć nie będzie«.

Rada Narodowa zebrała się w nowym lokalu i, powiększona przez przystąpienie wielu członków sejmu stanowego, odbywała dalej swe czynności. Zrzuciwszy »skromną barwę dziennikarza«**), przybrała »nazwę, dążności i władzę komitetów«, jakiemi byli poznański i krakowski.

C. d. n.



*) Podobne myśli wypowiadł Tomasz Potocki pod pseudonymem Krzyżtopora w dziele: O urządzeniu stosunków rolniczych w Polsce, drukowanem w Poznaniu.

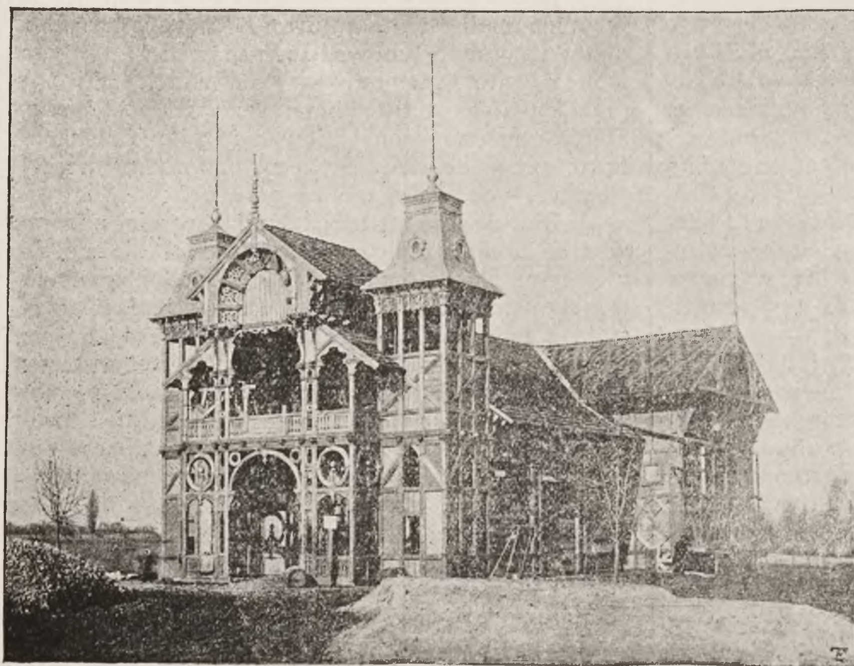
*) „Głos Narodu i Rada Centralna“ (Sokal, dnia 23. września 1848. Podpisano: dr. Frydberg).

**) Pismo otwarte do gubernatora — w imieniu deputacji stanisławowskiej Ignacy Kamiński.

Z placu t

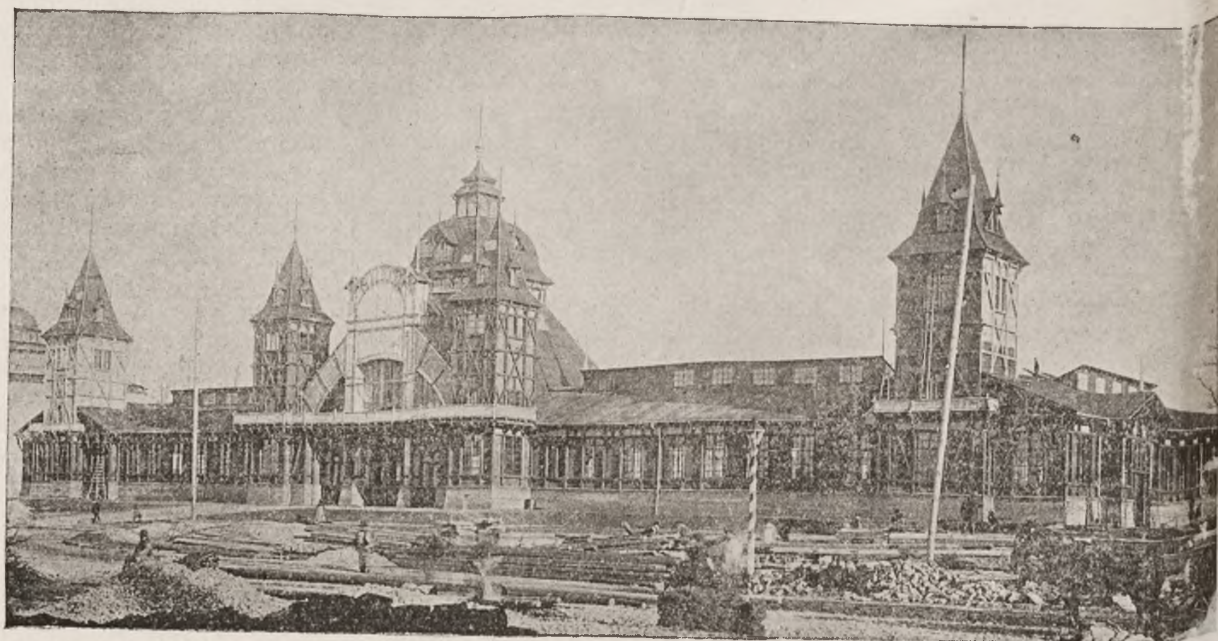


OGÓLNY W



PAWILON MIASTA LWOWA.





PAWILON PRZEMYSŁOWY.

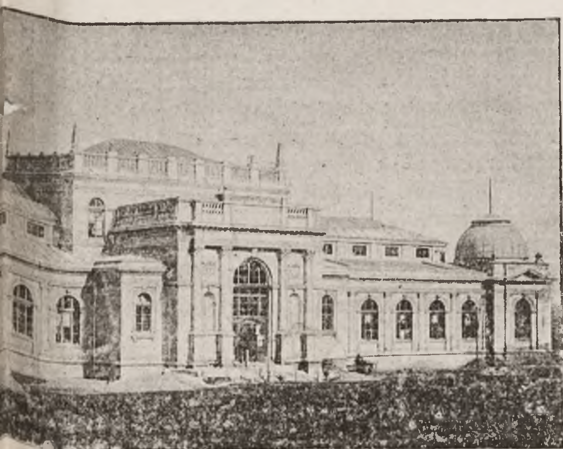
...ystawy.



...DOK.



Wieża wodna i pawilon fundacji Skarbkowskiej.



PAŁAC SZTUKI



CERKIEWKA.



JERZY GROT.

DZIEŃ POWSZEDNI.

II.

Z wysokości jednokonnej dryndy świat się przedstawia marnie: obrzydliwe błoto wielkomiejskie, cieniutko rozsmarowane po bruku i chodnikach, przygarbiony woźnica i koń śmiesznie wyrzucający lewą łopatkę. Czuję pewien rodzaj wstydu przy użyciu tego pojazdu. Nawet nie zupełnie rozumiem, czy wstyd ów płynie z powodu obrzydliwego zaprzęgu, czy z powodu fałszywości położenia mego wytartego paltota na tej patelni, którą wszakże ludzie uważają za rodzaj zbytku.

Właściwie powinienem się raczej wstydzić porannego »katzenjameru«, przez który znowu zmartwiłem Jadzię...

Mniejsza o to — są pieniądze, a czas już sprawić jej okrycie — dawno czas. Ma się już stanowczo ku deszczom.

Na rogu ulicy poznaję wysoko zakasane spodnie i wypłowiały parasol kolegi — pedagoga z Zabiej ulicy. Dziwnym wstrętem przejmuje mię ten widok monotonnego ciapania ostrożnie stąpających nóg biedaka. Odwracam głowę, co w połączeniu ze zbytkowną dorożką zgubi mię w demokratycznej opinji kolegi i gotów jestem znowu rozsypać się w szeregu filozoficznych refleksji... O bohemo!

Przed bramą przypominam sobie znowu o papierosach, bo mię drapie w gardle. W sklepiku, rzecz jasna, nie mogą zmienić 25-rublówki — muszę czekać, bo i dorożkarz nie ma »tyle pieniędzy«, tyle pieniędzy!

Wreszcie przemija spóźniona godzina — znowu dorożka — i już jestem w porządku z ostatnią lekcją.

Ponieważ młody syn zamożnych rodziców, kształcący się w fizjologji, jest umysłem niezmiernie krytycznym, więc spotyka mię na niej małe, dość częste zdarzenie. Młodzieniec lubi mię łapać na sprzecznościach.

— Proszę pana — pan kiedyś wspominał, że ryby także mają ciepłą krew.

— Więc?

Młodzieniec zaczyna wolno, ale kończy bełkotem — tak mu pilno olśnić mnie krytycyzmem.

— Po pierwsze, ja sam niedawno brałem żywą rybę do ręki i zrobiłem doświadczenie, że zimna... A powtóre dla czegoż one nazywają się zwierzętami zimno-krwistemi?

Czuję, że trzeba rzecz po prostu wytłómaczyć — czuję, ale jestem zdenerwowany tym tonem tryumfującej zarozumiałości — i odpowiadam cierpko, z irytacją...

Teraz na upartego mógłbym wstąpić do domu i oddać Jadzi pieniądze; mogłaby zaraz pójść po okrycie. Ale muszę jeszcze coś zjeść i wpaść do księgarni. Czeka mię tam prawdziwy rachunek sumienia i czyściec!

Szybko i nizko jak dymy, pędzą w ołowianej głębi nieba rozrzedzone obłoki. Deszczu już niema — tylko ziębiąca przenikliwa wilgoć spełza zewsząd niewidzialnemi kroplami i nadaje dachom i kamienicom martwy, błotny połysk. W takie dni żółć wysiąka gdzieś do wnętrza i przepaja cały organizm jakąś goryczą nieuzasadnioną i ustawicznem rozdrażnieniem. Nawet beznamiętne kolumny cyfr w księgach buchhalteryjnych, które przez małe dwie godzinki prowadzę — nawet one zdają się złośliwie jak żmijki wysuwać do góry... Wszystko wywołuje jakieś ślamazarne refleksje, pełne źle maskowanego egoizmu... Dobrze, że nie poszedłem do domu: Jadzia napewno coś łatała lub cerowała — nie lubię tego widoku. I ona nie lubi, kiedy bywam obecny przy tajemniczych obrządkach t. z. ogniska rodzinnego. Są to godziny, w których kąpie Maryjkę, gotuje obiad, ceruje, łata i odradza z popiołów swe feniksy toaletowe. Czy ja wiem, czego ona nie zrobi w ciągu tych kilku godzin? Swoją drogą czwarta mogłaby już uderzyć, bo po prostu wściekle jestem głodny.

* * *

Kwadrans po czwartej. Żuczek śpi pod muślinem, Antek układa w tornistrze, Jadzi niema.

— Gdzież mama?

— Mamusia powiedziała, że prędko wróci.

— Djabli nadali! wiecznie jakieś interesy, o których ja nic nie wiem. Nie mogła pół godziny zaczekać — wie, że nie cierpię sam jeść obiadu.

— Nie wiesz dokąd poszła?

— Nie wiem... posłaniec po mamusię przychodził.

— Dawno?

— Jak tylko mamusia ułożyła Maryjkę.

— Obiad jedliście?

— Mamusia tatusiowi zostawiła.

Przed chwilą byłem wściekle głodny, a teraz ledwie mogę dotknąć potraw. Zwłaszcza irytuje mię sakramentalne jabłko na spodeczku — znak pieczołowitości małżeńskiej. Tyle przecież razy mówiłem, żeby mi dawała to, co wszyscy jedzą.

— Antek miałeś jabłko?

Antek mi odpowiada wprost:

— Mamusia to dla tatusia zostawiła.

— No, to zjedz sobie.

Antek się waha.

— Zjedz-że, kiedy ci mówię.

Zegar cyka monotonnie, czasem pod muślinem westchnie Maryjka. Czuję głuchy przypływ złości, wzmagającej się ilekroć kroki na schodach, które mimowoli śledzę, ucichną gdzieś niżej. Jakie ona ma interesy? Pewnie jakieś głupie zebranie celem »porozumienia się« czy coś podobnego. Jabłko na złość mi zostawi, ale o tem, czego nie cierpię, nie pamięta. Chce mi się chodzić po pokoju, ale nie mogę, bo obudzę Maryjkę.

— Czego się wałęsasz po kątach, Antek.

— Ja tak proszę tatusia.

Obserwuję chłopca, którego mi się robi trochę żal, bo ma minę mocno zafrasowaną. Cóż on ostatecznie winien?

— Nie wyrywali cię więcej? Antek widocznie czekał na to zapytanie.

— Owszem, tatusiu — dostałem piątkę z arytmetyki i trójkę z kaligrafji.

Właściwie, w głębi duszy, jestem zadowolony z chłopca, bo nawet współczuję jego niechęci do kaligrafji, ale nie umiem się oprzeć jakiejś pokusie dręczenia.

— Czemuż trójka z kaligrafji?

Antek coś mi tłómaczy o piórze gęsiem i stalowem. Później małą chwilę poczekawszy, zbliża się znowu.

— Proszę tatusia? czy ja mogę pójść do Władka?

— Po co?

— Bo oni pójdą obejrzeć tę panoramę.

— A lekcje umiesz?

— Umiem — mamusia przesłuchała.

Milczę dość długo, chociaż chłopak mieni się na twarzy w niepewności.

— No, idź — jeżeli z ojcem Władka. Masz czterdziestkę.

— Ja mam proszę tatusia — mamusia mi dała.

— Bierzże, kiedy daję!

Do pasji mię doprowadza to ciągłe wypominanie mamusi. Mądra mamusia: poszła w leciutkiej pelerynce, żeby się zaziębić z pilnego interesu. I znowu płyną chwile złośliwego oczekiwania, a myśl ciągle powraca do tego samego punktu — dokąd ona poszła?

W pokoju panuje porządek — na stoliku jej leży jakiś foljał: »Nauka o rzeczach«. Cóż za nowa manja pedagogiczna? Zabieram księgę na sofę i przez chwilę wertując ją zapominam o złym humorze, który się czai gdzieś w głębi.

Nareszcie! Lekkie kroki zatrzymują się przy słomiance kuchennej, po chwili słyszę klucz w zatrzasku.

— Jest Józio? — dolatuje szept z kuchni. Milczę.

Jadzia wchodzi trochę zażenowana i zatrzymuje się na palcach, spojrzawszy na sofę.

— Józiu spisz?

Milczę. Po chwili zawraca i zbliża się do drzwi Maryjki.

— Powiedz mi, gdzieś ty łaziła?

Jadzia znowu nieruchomieje, przerażona skrzekiem mojego głosu.

— Wszystkie te twoje latania skończą się chorobą w domu.

Chciałbym, żeby mi odpowiedziała cierpko, ale jeszcze nie.

— Mój drogi musiałam wyjść, bo Zosia przysłała, żebym koniecznie przyszła na Wilczą.

— Co mnie twoja Zosia obchodzi! Nie cierpię, kiedy łazisz w porze obiadowej.

Jadzia przygryza wargę i cofa się ku drzwiom. Patrzę za nią z bezsilną brutalnością i ciągnę, nie wiedząc, co mam mówić.

— Jakieś wilcze nie wilcze. Djabli nadali te wszystkie sprawy i porozumienia.

Jadzia się ożywia.

— Żadne porozumienia, ale Zosia oddała mi jedną swoją lekcję, bo ma za dużo.

A... więc to nowy pomnik cichego poświęcenia. Teraz zaczynam wchodzić w białą złość flegmatyczną, mierzoną.

— Tak? A ja ci mówię, że żadnych lekcji dawać nie będziesz.

Jadzia patrzy dużemi ze zdziwienia i oczyma i nieznacznie wzrusza ramionami.

— Wiesz, że ta lekcja jest mi bardzo na rękę. Zresztą mówiliśmy już o tem, o cóż ci teraz chodzi.

— O to, nie chcę.

— Ależ, mój drogi, nie traktuj mnie jak dziecko. Przecież ja także mogę chcieć. Zawsze jakaś kuratela, wszędzie byś chciał sam dopaść — zabijasz się po prostu... Powiedz, po co ty mnie i siebie torturujesz, męczysz, dręczysz?..

Wszystkiego tego słucham prawie z rozkoszą, zawczasu przygotowując się do wyczerpującej odpowiedzi.

— Po pierwsze traktuję cię jak dziecko, bo jesteś dzieckiem. Powtóre, nie używaj ty nigdy swoich babskich »zawsze« i »wszędzie«. Po trzecie, męczyć, dręczyć i torturować — są to synonimy, a po czwarte nikt tu twego poświęcenia nie potrzebuje.

Czuję dokładnie miarę brutalności, zawartą w tej odpowiedzi. Jadzia powoli odchodzi, nie mówiąc ani słowa — jakiś kurcz przykry wije się koło jej ust.

— Męczennica!

Za ścianą słyszę głuchy szmer więzionego nadludzką mocą łkania i już prawie w niepamięci rzucam za nią frazes ostatni.

— I radzę lepiej nie dąsać się, dopóki nie będziesz miała na ten cel buduaru.

Ale jednocześnie czuję jakby uderzenie w twarz i milknę konwulsyjnie. Ach — jakież to podłe!

Teraz cisza ustala się na długo — nikt z nas na pewno nie przerwie milczenia. Ja leżę bezczynnie na sofie, patrząc w podłogę. Jadzia raptem ucichła w drugim pokoju. Po co w istocie ma płakać i dręczyć się, kiedy to, co powiedziałem, już po prostu było głupie i śmieszne? Szkoda zdrowia na takie świństwa. W ten sposób mniej więcej odtwarzam sobie obecny stan Jadzi i znajduję w tem pewną ulgę. Upływa jeszcze kwadrans, podczas którego Jadzia zapala maszynkę i grzeje mleko: Maryjka zaraz się obudzi. Ciekawa rzecz, czy mi ją przyniesie? Staram się sobie nadać humor bardziej jowialny, ojcowski — Maryjka już gwarzy z Matką.

— Mlićka.

Po mleczku powie »na łąćki«. Jadzia coś po cichutku jej opowiada.

— Na łąćki.

Słyszę, jak Jadzia obciąga jej koszulinę i podchodzi do okna. Ale żuczek nie łatwo daje się wykoleić ze zwykłego trybu.

— Do tatusia.

Ciekawa rzecz... Jadzia przynosi Maryjkę do drzwi i wpuszcza do mnie, sama nie wchodzi.

— Może Maryjce zimno? — pytam. Żuczek pakuje się na sofę i pokazuje na nóżki.

— O! — pońciośki.

A nie zimno Maryjce?

Maryjka potrząsa główką.



Dok. n.

Przegląd pism.

»Kwartalnik historyczny«. Organ Towarzystwa historycznego. Rocznica VIII. Zeszyt II. Lwów 1894 str. 201—390.

Artykuł dra P. Bieńkowskiego, umieszczony na czele zeszytu niniejszego, zapoznaje nas z nowym tomem publikacji hr. K. Lanckorońskiego, dotyczącej miast Pamfilji i Pizydji, która ma wkrótce ukazać się po polsku w Krakowie. Dzieło hr. Lanckorońskiego wydane pierwotnie po niemiecku, ukazuje się obecnie w szacie polskiej i ma nader ważne znaczenie jako źródło do poznania dziejów cywilizacji starożytnej Azji Mniejszej. Tom II. tej pracy poświęcony jest Pizydji.

Pizydyjczycy zamieszkiwali w czasach historycznych zachodnią połowę góry Tauros. Język, religja, względy etnograficzne i położenie przemawiają za pochodzeniem indoeuropejskiem Pizydyjczyków, co też potwierdza się szybkością procesu helenizacyjnego, któremu uległo to plemię. W VI. w. przed Chr. dostała się Pizydja pod panowanie perskie, zachowując jednak pewną samodzielność. Mitridates zniósł na czas krótki niezawisłość gmin pizydyjskich, atoli Rzymianie przywrócili ją dekretem, znanym pod nazwą »lex Antonia de Thermensibus«. Jak wymowa, tak i sztuka, specjalnie zaś architektura w Pizydji zostaje pod przemożnym wpływem kultury heleńskiej. Dzieło hr Lanckorońskiego przeważnie jest poświęcone właśnie sztuce pizydyjskiej. Takiego wydawnictwa nie było dotąd w literaturze polskiej, stanowi ono fakt zwrotny w dziejach studjów klasycznych w Polsce.

Dr. I. Bukowski usiłuje dowieść na podstawie nieogłoszonego dotąd nigdzie rozdziału z kroniki kalwaryjskiej, że Zebrzydowski, pomimo wszystkiego, co o nim piszą, właściwym twórcą słynnego rokoszu nie był. Kronika kalwaryjska w zgoła odmiennem świetle przedstawia osobę i działalność Zebrzydowskiego, tudzież złączony z jego imieniem rokosz, co się jednak tłumaczy tym faktem, że autor kroniki ks. Ludwik Boguski, był wieloletnim towarzyszem i powiernikiem Zebrzydowskiego.

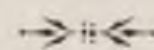
Dr. A. Kraushar dzieli się z czytelnikami bardzo ciekawą wiadomością, historykom dotąd nieznaną, o wmięszaniu się Stefana Batorego w sprawy niderlandzkie. W księdze rękopismiennej Bibljoteki królewskiej w Dreznie, obejmującej rozmaitej akta publiczne z XVI. i XVII. w. w oryginałach lub też w kopjach, znajduje się kopja listu Stefana Batorego, w d. 24. marca 1586 r. do stanów generalnych niderlandzkich adresowanego, napominającego zbuntowanych podówczas przeciw Filipowi II. Niderlandczyków do poddania się i uległości królowi hiszpańskiemu. W »Przeglądzie literatury zagranicznej« dr. L. Finkel rozpatruje prace cudzoziemców, poświęcone ogólnym poglądom na historjozofją, historji powszechnej, historji kultury itd.

Obfity zbiór sprawozdań stanowi i w tym zeszycie lwią część wydawnictwa, prawdziwy zaszczyt naszej literaturze naukowej przynoszącego. Pozwolilibyśmy sobie tu jednak zwrócić uwagę Redakcji »Kwartalnika« na wadliwą transkrypcję zagłówków dzieł rosyjskich, a po części i innych słowiańskich, która zwłaszcza w dziale »Przeglądu czasopism« bardzo niemiłe sprawia wrażenie. Spotykamy tu np. takie dziwolągi, jak: Monety czekanennyja polskimy kozoliamy, Josyfa, wełykawo, dielenije, łatińskaja, sławieńskich, biłgarskij itd.

L. Wasilewski.



Z RUCHU LITERACKIEGO.



Alkar. Relacja Rezydenta Polskiego w Moskwie, o wypadkach z r. 1682. Z rękopisu podał... — Kraków, 1894, str. 19, ct. 40.

— Z dziejów Warszawy. Grobowiec carów Szujskich. Kraków, 1894, z 6 rycinami, str. 29, ct. 60.

Gierszyński Henryk dr Krótki pogląd na powstanie Kościuszkowskie, napisał... Cena 50 centymów na korzyść kasy centralnej Związku Wychodźtwa polskiego. — Paryż, 1894, str. 23.

Orion. Historja Polaka w niewoli (1764—1894), rozłożona na dnie i miesiące, skreślił... Kraków, 1894, str. 276. Spis faktów I—VIII. Sprostowania I—II.

Słotwiński Adam X. Pijar. Unia podlasko-chełmska od r. 1875—1885 Czacza. Nakładem autora, 1894, str. 122.

Szukiewicz Wojciech. Górne Sląsko. Szkic z chwili bieżącej. — Kraków, 1894, str. 55., ct. 30.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.